Horror narodzin.

Tydzień temu przedstawiliśmy na łamach „WW” opowieści pań **Patrycji**, **Darii** i **Anny****. Dziś publikujemy drugą część reportażu.

NAWET ROZMOWA BYŁA ZBYT TRUDNA

Pani **Barbara**** opuściła wrzesiński szpital z dzieckiem na rękach, ale to, co przeżyła, było dla niej tak traumatyczne, że bała się kolejnej ciąży i gdyby nie wpadka, jej córka pozostałby jedynaczką.

– Kilka lat temu byłam w kontakcie z Fundacją Rodzić po Ludzku i panie pytały, czy opowiedziałabym swoją historię. Ale nie byłam na to gotowa, wszystko było zbyt świeże. Teraz jest mi łatwiej. Kiedy przeczytałam artykuł o interwencji fundacji na Wrzesnia.info.pl, coś we mnie pękło. Pomyślałam: Boże jedyny, tyle lat i nic się nie zmienia. Tyle lat i ten człowiek cały czas robi to samo.

Pani Barbara urodziła córkę w 2006 r.

– To była moja pierwsza ciąża. Byliśmy młodzi – ja miałam 22 lata, mój partner niewiele więcej. Staraliśmy się o dziecko, córka była bardzo wyczekiwana. Bardzo sumiennie chodziliśmy na zajęcia szkoły rodzenia, mój partner specjalnie brał wolne z pracy. Panie ze szkoły rodzenia były przemiłe, dostaliśmy piękny certyfikat upoważniający do porodu rodzinnego. Poród miał być cudem. Cud narodzin – wspomina kobieta. – Wszystko szło z planem aż do porodu. Wody odeszły mi w domu, akurat byłam sama. Partner od razu wszystko rzucił i przybiegł do mnie. Miałam skurcze, był jakiś tam ból, ale byłam pełna optymizmu, radości, że przecież ten ból jest po coś.

WROGOŚĆ PERSONELU

Na izbie przyjęć było jeszcze całkiem miło. Pani Barbara dostała polecenie przebrania się w koszulę nocną. Bóle były już duże, ale się nie niepokoiła.

– Panie przekazały jeszcze, że ktoś z porodówki przyjdzie i nas zabierze. Partner cały czas trzymał certyfikat ze szkoły rodzenia. Przyszła młoda dziewczyna i powiedziała, że zaprasza do góry i że weźmie torbę od mojego partnera. Ostatecznie niósł ją jednak sam. W windzie kobieta sięgnęła po tę torbę, oznajmiając, że ona ją weźmie, bo on tu zostaje. Zaczął wyjaśniać, że nie, przecież mamy certyfikat. Spróbowała go wypchnąć siłą z tej windy. W tym momencie zaczęłam wpadać w panikę – to przecież była przemoc. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi. W końcu odpuściła i powiedziała, że będziemy się tłumaczyć przed lekarzem. Już na porodówce zagadała do nas jeszcze jedna pani. Wtedy pojawił się doktor X. Rzucił coś w stylu: „Koniec histerii, zasady są dla wszystkich”. Cały czas nikt nam nic nie wyjaśnił. W końcu któraś pani powiedziała, że panuje grypa i w związku z tym porody rodzinne są odwołane już chyba od tygodnia. Zaczęliśmy wyjaśniać, że przecież mój partner był zdrowy, że certyfikat, że byliśmy nastawieni na poród rodzinny. Usłyszeliśmy, że nie ma takiej opcji. Ze stresu i bólu przysiadłam na chwilę. Powiedziałam, że w takim wypadku zmieniamy szpital. Podeszła jakaś pani i zapytała, czy już skończyliśmy histeryzować i czy się pożegnaliśmy. Powiedziałam, że sama tu nie zostanę. Usłyszałam, że nie ma innej możliwości, bo już jestem tu zarejestrowana jako pacjentka oddziału. Chciałam się wypisać na własne żądanie i jechać do Gniezna. Nikt nie chciał mi podać żadnego druku, cały czas próbowali zabrać od nas torbę. Wkurzyłam się i poszłam w stronę schodów. Wtedy wykiknął doktor X i rzucił: „Jak już tak histeryzuje, to już niech zostanie”. Usłyszeliśmy, że możemy zostać jednak oboje, ale partner nie może wyjrzeć nawet na korytarz, a jeśli wyjdzie choćby do toalety, zostanie wyprowadzony siłą.

PRZERAŻENIE, BÓL I DOCINKI

Partner pani Barbary jest palaczem. Zapytał, czy może wypalić ostatniego papierosa, ale nie dostał zgody. Wody odeszły o godz. 13.00. Poród zakończył się po północy. Przez ten czas para nie rozstawała się nawet na moment. Byli tak spanikowani, że kiedy kobieta musiała skorzystać z toalety, zamykała się razem z nim w kabinie. Podejście personelu szpitala sprawiło, że była przerażona na myśl, że zostanie sama.

– Bóle były coraz większe. Personel nawet nie ukrywał nieprzychylności. Doktor X wiele razy był wzywany do bardzo bolesnego badania. Potem już na sam jego widok płakałam. Sprawdzał, jak idzie poród. Nie szczypał się, normalnie wkładał łapy do środka bez ostrzeżenia. Coś strasznego. Ten człowiek był tak wredny, niedelikatny, bezczelny... Badanie ginekologiczne samo w sobie nie jest czymś przyjemnym, ale można zrobić to w sposób cywilizowany, a można jak w rzeźni. Kiedy jęczałam z bólu, komentował: „Nie przesadza? Myślała, że rodzenie dzieci to przyjemność?”. Nie zwracał się do mnie, tylko jakoś bezosobowo. W sali obok rodziła inna pani, drzwi były otwarte. Słychać było każdy krzyk i westchnienie. Wiele razy błagaliśmy o znieczulenie. Dostałam dwie kroplówki na przyspieszenie porodu, ale znieczulenia nie. Ktoś nam później powiedział, że czekali na pieniążki. Podobno tak to wtedy działało. Nie mieliśmy pojęcia.

TA TO SIĘ JESZCZE POMYNCZY

– Po tym okrutnym badaniu zapytałam, jak długo to jeszcze potrwa. Spojrzał na pielęgniarkę i powiedział do niej: „Ta to się jeszcze pomynczy” – wspomina pani Barbara. – Chyba ani razu nie odezwał się do mnie jak do kobiety, jak do człowieka. Kiedy zaczęło być i ze mną, i z córką bardzo źle, mój partner nie wytrzymał i krzyknął, że żąda cesarki. Wtedy doktor X powiedział: „Tera to już jest za późno. Jakbyśmy zrobili cesarkę, tobyśmy panu dzieciaka bez głowy wyciągnęli, bo głowa już się zaklinowała w kanale rodnym”. A potem wziął stołek, usiadł pomiędzy moimi nogami i oznajmił: „Będzie miała przyjemność skorzystania z nowego sprzętu”.

Chodziło o vacuum, czyli próżnociąg. To pompka połączona z pelotą – miseczką przykładaną do główki dziecka. Wytworzenie próżni pomaga lekarzowi w wyciągnięciu główki. Vacuum powinno się stosować w znieczuleniu miejscowym lub zewnątrzoponowym.

– Żeby włożyć vacuum do środka, porozcinali mnie we wszystkie możliwe strony – relacjonuje pani Barbara. – Nie wiem, czy w ogóle byli na jakimś kursie, jak się tym posługiwać. Doktor X tę miseczkę wkładał z pięć razy. Ból niewyobrażalny, jakby cię ktoś ogniem przypalał. Nie dość, że wszystko porozcinane, że skurcze, to jeszcze ta miseczka idąca w przeciwną stronę niż dziecko. On ją wkładał, zasysał i wyciągał, ale bez dziecka. Zwracał się do położnej, że może jednak ustawić więcej – chyba chodziło o ciśnienie albo moc ssania. A może jeszcze coś docinał? Oni się po prostu się uczyli. Ból był potworny. W końcu wyjęli córę. Była sina. Zwróciłam uwagę na to, że nie płacze. Jak w końcu usłyszałam jej płacz, pomyślałam, że teraz mogę umrzeć. To było coś strasznego. Nie, żeby poród był czymś przyjemnym – choć mój drugi wspominam fantastycznie, mimo bólu. Ból jest częścią porodu, ale tego, co tam się działo, nie życzę najgorszemu wrogowi. To był horror. Potem nie kontaktowałam. Pozszywali mnie jakoś. Jakoś funkcjonuję, ale ładnie mnie doktor X pociachał.

PROBLEMY Z DZIECKIEM

Córka pani Barbary dostała 9 na 10 punktów w skali Apgar. Zabrano ją na obserwację. Dwanaście godzin po porodzie kobieta nadal nie miała o niej żadnych wiadomości. Po tym czasie na oddział wtargnął ojciec dziecka. Personel próbował go wyrzucić, ale zaparł się, że nie wyjdzie, póki nie zobaczy córki. Po tej awanturze pani Barbarze w końcu udało się zobaczyć dziecko, ale była zbyt słaba, żeby się nim zajmować.

W międzyczasie usłyszała, jak inne pacjentki mówią o jej porodzie. O sali pełnej krwi i o tym, że „rodząca chyba zmarła”. Ale nie miała wtedy siły mówić. Nie była im w stanie powiedzieć, że jest tutaj – i że żyje.

Przez trzy tygodnie po porodzie nie była w stanie usiąść. Wszystko sprawiało jej ból, miała problem nawet z oddawaniem moczu. A to nie był koniec kłopotów.

– Kiedy próbowałam dostawiać dziecko do piersi, nie ssało. W szkole rodzenia przemiłe panie mówiły, żeby prosić o pomoc, więc prosiłam wielokrotnie. Dostałam radę, żeby rozmasować piersi pod gorącą wodą. Tłumaczyłam, że próbuję, ale to nie pomaga. Słyszałam, że widocznie za krótko. Piersi miałam tak nabrzmiałe od mleka, że dziecko nie było w stanie objąć brodawki. Kiedy prosiłam o pomoc, zabierali dziecko i mówili, że je dokarmią. Tłumaczyłam, że nie chcę, żeby dziecko było karmione mlekiem modyfikowanym, tylko że potrzebuję pomocy. Ale wtedy słyszałam, że nikt nie ma czasu. I że mam próbować przystawiać, żeby laktacja nie ustała.

> *Lekarz z latami praktyki powinien wiedzieć, że ludzie mają uczucia. Doktor X powinien pracować w rzeźni.*
>
> — twierdzi pani Barbara

Pani Barbarze oberwało się też za dietę. Zjadała wszystko, co jej podano. Ostatniego dnia zgłosiła, że dziecko płakało. Została odpytana z tego, co zjadła na obiad. Kiedy wymieniła buraczki, usłyszała wyzwiska.

– „Czyś ty zwariowała, buraki?! Czy ty jesteś walnięta?!”. Nie miałam pojęcia, że nie powinnam ich jeść. Przecież serwowali je na porodówce! Dziecko zostało wypisane z lekką żółtaczką i bólem brzucha, a ja trafiłam do domu bez umiejętności karmienia. Uczyła mnie karmić szwagierka.

PIERWSZE MIŁE SŁOWA

– Ostatniego dnia, tuż przed wypisem, przyszła ta przemiła pani, która była z nami w szkole rodzenia.

część II

Opowieści kobiet

> *W Danii jest podejście jak do człowieka – opieka, pomoc, miłe słowo, uśmiech. Tak jak powinno być*
>
> — wspomina poród tamże

Byłam strasznie przejęta, że sobie nie radzę. Powiedziała wtedy: „Kochana, kotuś, ty się nie przejmuj, wszystko będzie dobrze". Strasznie się wtedy poryczałam, bo to były pierwsze miłe słowa, jakie usłyszałam. To i jeszcze jeden gest... Na porodówce czułam się jak w rzeźni, te kafelki, atmosfera i rażące światło. Jedna pani przechodziła obok sali i lekko je przygasiła. Nawet nie wiem, kim była, ale byłam jej bardzo wdzięczna. Przyniosło mi to chwilę ukojenia.

Choć w czasie czterech dni pobytu na oddziale pani Barbara często pytała o stan dziecka, słyszała tylko, że wszystko jej powie pediatra. Nie miała żadnych dokładnych informacji o stanie zdrowia córki.

– W momencie wypisu opieprzyli mnie za te buraki i powiedzieli, że tu dziecko, tu skierowanie na szczepienia, a tu skierowanie na skaning główki. Zaczęłam pytać, dlaczego, co się stało. Dowiedziałam się, że przez to, że poród był ciężki, główka była uszkodzona. Że dziecko może być opóźnione w rozwoju, może nie chodzić, nie mówić... Cała lista konsekwencji. Szłam do domu z dzieckiem na rękach, przed chwilą się dowiedziałam, że jest duże prawdopodobieństwo, że będzie niepełnosprawne. Potem przez 12 miesięcy stres co dwa tygodnie. Chodziłam na skaning i słyszałam, że jest OK, ale nie wiadomo, co będzie potem. Pana X zapamiętam do końca życia.

STRACH PRZED CIĄŻĄ

Dziś pani Barbara mieszka w Danii. Tu przyszedł na świat jej syn – stąd porównanie, jak może wyglądać podejście lekarzy.

– Po przejściach, które miałam w Polsce, było mi trudno nawet iść do ginekologa i poddać się badaniu. Człowiek ma traumę, straszną. Nie planowałam drugiego dziecka, wyszło przypadkiem. Przez całą ciążę po nocach śnił mi się poród. Bałam się, co będzie. Jak zobaczyłam dwie kreski, ryczałam przez dwa tygodnie. Tutaj oczywiście zapytano mnie, czy w ogóle życzę sobie być w ciąży, bo aborcja jest standardem. Powiedziałam, że tak, bo jestem katoliczką. Dziecko to dziecko, coś wymyślimy. Ale byłam w histerii. Nie mogłam jeść, funkcjonować.

W Danii podejście do porodu jest zupełnie inne. Kobietą zajmuje się tylko położna, działką lekarzy jest patologia ciąży. Różnica jest też w standardzie. Pani Barbara została zakwaterowana wraz z mężem na dużej sali. Było tam łóżko dla niej i dla niego, duża wanna, piłka, oczywiście cała aparatura, a nawet sofa ze stolikiem dla gości.

– Była maska z gazem – od razu pokazano mi, jak się jej używa, ale nie chciałam korzystać. Był dostęp do akupunktury. Drzwi zawsze były zamknięte, wszyscy zawsze pukali. Jeśli na salę przychodził ktoś nowy, podawał rękę i przedstawiał się. Wyjaśniał, kim jest, po co przyszedł i w czym nam pomoże.

PORÓD PO DUŃSKU

– Wiadomo, że warunki są inne niż w Polsce, ale najważniejsze jest samo podejście: jak do człowieka. Opieka, pomoc, miłe słowo, uśmiech. Nawet pieluchy w standardzie – wylicza kobieta. – Tu było po prostu normalnie, tak jak powinno być. W Polsce do rodzącej podchodzi się jak do przedmiotu, śmiecia, intruza. W Danii przyszła do mnie położna. Miała na imię Pernille. Podała mi rękę i powiedziała: „Będę z tobą do końca. Choćby nie wiem, co się działo, jestem tu dla ciebie. Kiedy wyjdę z sali, będę w pokoju obok, tu jest guzik, możesz mnie wezwać w każdej chwili. Jeśli poród będzie trwał godzinę, podziękujemy sobie po godzinie. Jeśli będzie trwał 20 godzin, ja tu będę przez 20 godzin". Ponieważ w Dani nie wzywa się lekarza, jeśli wszystko jest OK, wszystko robi położna. Po porodzie naturalnym wychodzi się do domu po godzinie obserwacji. Śmieję się, że taśmóweczka: przychodzisz, rodzisz, wychodzisz.

Przypadek pani Barbary nie należał jednak do prostych. Bóle się nasilały, ale rozwarcie nie rosło, nie była w stanie urodzić.

– Byłam badana przez Pernille i przez lekarza. I okazało się, że można to zrobić bezboleśnie nawet podczas porodu. Nie to co ten cham w Polsce, który było widać, że robił to złośliwie i specjalnie. W każdym razie stwierdzono, że syn się naturalnie nie urodzi, dostałam znieczulenie zewnątrzoponowe. Potem wszystko było jak w bajce.

Syn pani Barbary urodził się dzięki cesarskiemu cięciu. I mimo świadomości, że w Danii byłaby pod dobrą opieką, na samą myśl o kolejnej ciąży ogarnia ją strach. A gdy wspomina poród we Wrześni, czuje ból w miejscu blizn. Ten zresztą towarzyszył jej jeszcze długo. Miała też problemy z oddawaniem moczu. Same blizny są rozległe, widoczne. Przejścia z doktorem X miały też wpływ na jej życie seksualne.

– Jeśli ktoś cię tak potraktował, jeśli ktoś cię tak pokroił, zrobił ci taką krzywdę, to ciężko było się rozluźnić, a tym bardziej odczuwać jakąkolwiek przyjemność – zwierza się. – Raz widziałam doktora X, kiedy byłam w szpitalu w innej sprawie. Przechodził korytarzem. Stanęłam i zamarłam, oczy zaszły mi łzami. Jestem pedagogiem z wykształcenia. Wiem, że jak ktoś idzie rodzić, jest młody i spanikowany, to gówno wie – i wymaga opieki. A szpital to jest miejsce, gdzie wrażliwość powinna być na pierwszym miejscu. Lekarz taki jak dr X, z latami praktyki, tym bardziej powinien wiedzieć, że ludzie mają uczucia. On powinien pracować w rzeźni. Myślę, że świetnie by się nadawał do krojenia bekonu.

Mimo wszystko pani Barbara przyznaje, że obecnie często rozmawia z narzeczonym o jeszcze jednym dziecku.

– Ale jedno jest pewne: jak już będę w ciąży, nie ruszymy się z Danii na krok. Aby przypadkiem nie zdarzyło się, że poród zacznie się przedwcześnie albo że z jakiegoś powodu utkniemy w Polsce, na przykład we Wrześni, i przyszłoby mi rodzić znowu tutaj. Nie ma mowy.

Anna Tess Gołębiowska

** nazwiska (i płeć) lekarzy występujących w reportażu zanonimizowaliśmy, ale pojawiający się we wszystkich historiach doktor X to ta sama osoba*
*** imiona bohaterek tekstu zmieniliśmy na ich prośbę*

Pełen tekst reportażu udostępniłam zarówno doktorowi X, jak i prezesowi Szpitala Powiatowego we Wrześni, **Zbigniewowi Hupale**. Zaproponowałam im rozmowę. Prezes zadeklarował, że spotka się ze mną 27 stycznia. Nie wiem, czy w czasie rozmowy obecny będzie doktor X.

OD AUTORKI:
To chyba najtrudniejszy tekst, jaki napisałam w życiu. Gdy rozmawiałam z bohaterkami artykułu, miałam łzy w oczach. Nagrania rozmów spisywałam na raty, ponieważ zmierzenie się z nimi było tak przytłaczające. Straszne jest, że przez wszystkie te historie – obcych, nieznających się kobiet, które trafiały do wrzesińskiego szpitala w różnych latach – przewija się ten sam lekarz! Zawsze w roli głównej. Jeden człowiek wpływa na życie niezliczonych osób, a jednocześnie stanowi wizytówkę całego oddziału.

Najbardziej przytłaczające jest jednak to, że ta sytuacja nie ma prostego rozwiązania. Jak napisałam we wstępie – łamanie praw pacjentek ma miejsce na ponad połowie oddziałów położniczych w Polsce. To nie tak, że Szpital Powiatowy we Wrześni jest siedliskiem zła, więc wystarczy pojechać do Środy Wielkopolskiej, Gniezna czy Poznania i wszystko będzie dobrze. Patologia jest zakorzeniona głęboko na polskich porodówkach, a walka z nią przypomina walkę z wiatrakami. Mieszają się tu różne wątki – przedmiotowe podejście do kobiet, z którym przecież można zetknąć się wszędzie, nie tylko w szpitalach. Niedofinansowanie ochrony zdrowia i kiepskie warunki zatrudnienia w państwowych placówkach, przez co wiecznie brakuje lekarzy. Obok opowieści o prawdziwych horrorach odbywających się na oddziale nie brakuje też przecież historii przyziemnych – o tym, że ktoś był oschły, niesympatyczny. Naprawdę trudno się dziwić, że lekarz, który spędza na dyżurze 24 godziny, nie ma sił na uśmiech.

Już samo to jest szokujące – dyżur trwający 24 godziny. Nie można pracować tak długo jako sprzedawca czy woźny, a przecież od tego, czy lekarz jest wypoczęty i trzeźwo myśli, zależy ludzkie życie. Często pacjenta, czasem też samego lekarza – regularnie media donoszą o tym, że któryś z medyków zmarł z wycieńczenia.

Pojawiają się wreszcie problemy absurdalne, jak rozmieszczenie oddziałów. We wrzesińskim szpitalu oddziały neonatologiczny i położniczy są od siebie oddalone. Udało mi się ustalić, że neonatolog jest wzywany w czasie porodu, by mógł zainterweniować, gdyby coś się wydarzyło. Tyle że jeśli poród przebiega bez zakłóceń, dziecko powinno mieć możliwość kontaktu skóra do skóry – rozpoczętego 5 minut po porodzie i nieprzerwanego. Tymczasem realia są takie, że kontakt zostaje przerwany bardzo szybko, ponieważ skoro neonatolog jest na miejscu, to od razu bada dziecko, żeby później mógł wrócić na swój oddział i kontynuować pracę, zamiast biegać w kółko po szpitalu. Później dziecko wraca do matki – i tu już wiele zależy od szczęścia. Czasem kontakt skóra do skóry jest kontynuowany, a czasem dziecko zostaje już ubrane. Jeśli pacjentka nie ma świadomości, jak powinien przebiegać poród, nie wie, czego może się domagać. A traci na tym i ona, i maluch.

W tak odpowiedzialnym zawodzie jak lekarz powinni pracować najlepsi z najlepszych, tymczasem w całej Polsce zachodzi „selekcja negatywna". Pracują ci, którzy wyrażą taką chęć, nawet jeśli nie powinni. Oczywiście część pracowników ochrony zdrowia to ludzie z powołaniem i sercem we właściwym miejscu, ale część nigdy nie powinna mieć do czynienia z pacjentem. Tylko co zrobić, skoro nie ma nikogo na ich miejsce? Zamykać oddziały? To i tak się dzieje. Świetnie wykształceni specjaliści znajdują przecież od ręki pracę w całej Unii Europejskiej. Niekoniecznie z powodu pieniędzy – w niektórych specjalnościach zdarza się, że w Polsce zarobiliby więcej. Uciekają do miejsc, gdzie znajdą godne warunki pracy.

Na polskich oddziałach piętrzą się więc trudności, rośnie stres. A wszystko to często odbija się na osobach w systemie najsłabszych – czyli na pacjentach i pacjentkach. Czasem owocuje to „tylko" traumą. Kiedy indziej – trwałą utratą zdrowia, a nawet życia.

Przerażające jest, że nie ma żadnej recepty na to, jak uzdrowić ten system.

I tak, oczywiście, że są kobiety zadowolone z porodów – i w Polsce, i we Wrześni. Nikt nie neguje ich historii. Problem polega na tym, że zadowolenie jednej kobiety nie neutralizuje tragedii drugiej. To, co przydarzyło się moim rozmówczyniom, nie powinno spotkać nikogo. I trzeba z tym walczyć.

Anna Tess Gołębiowska